AR-PRC-02091

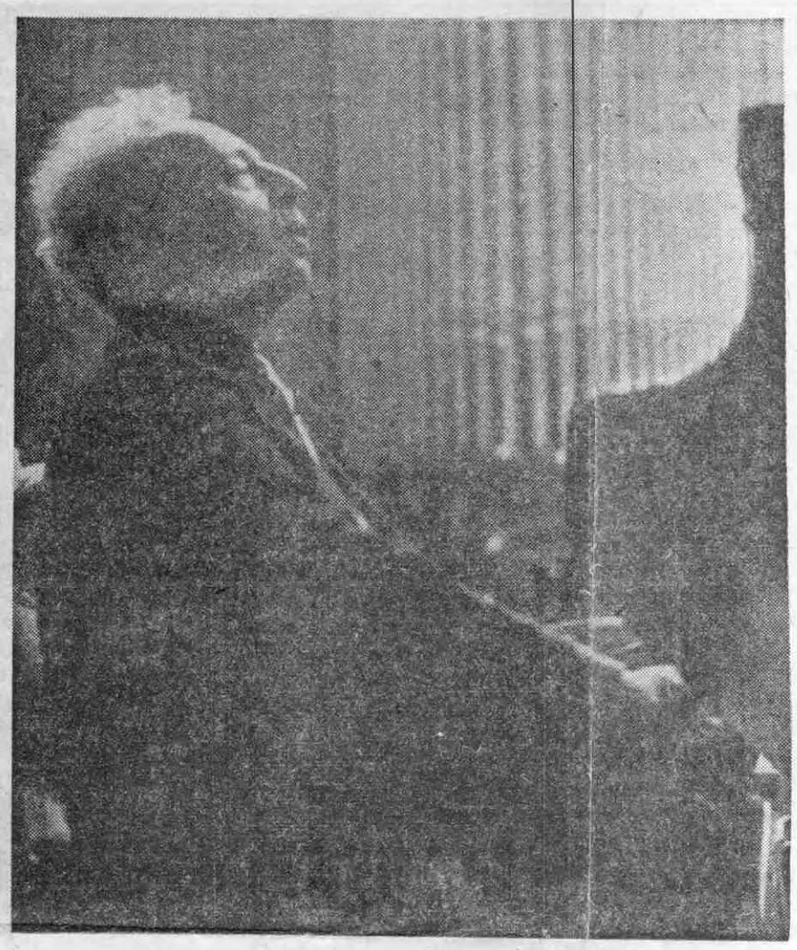

Artur Rubinstein na zeszłorocznym koncercie w warszawskiej Filharmonji

Artur Rubinstein Grał w New Yorku

Wieczorem 27 listopada Artur Rubinstein grał znowu w New Yorku w Carnegie Hall.

Tym razem nie tylko Chopina.

Dla tych kilku tysięcy słuchaczów, między którymi było napewno wielu takich, którzy po raz pierwszy słyszeli tego wielkiego polskiego pianistę, nie potrzebna jest napewno żadna już więcej ocena fachowych krytyków. Cóż z tego, że czytając takie recenzje można się zachłystywać dokładnością określeń, które prowadząc jakby vivisekcję, rozbijać będą tę całą grę na jakieś anatomiczne części, że będą pokazywać włókna poszczególnych tonów, wią zadła akompanjamentu, mięśnie fug i jakieś nerwy zrywanych pasażów. Ani to nie doda nic tej muzyce, ani jej nie upiększy, ani nie ułatwi odczucia muzyki, której się słucha.

Kiedy się siedzi dość blisko, żeby widać było ruchy rąk i palców pianisty to się oczami prowadzi za niemi, podchwytując tę jakąś niepojętą sztukę układania koło siebie dźwięków, dodawania ich do siebie, albo wyrzucania niektórych z pośród nich. Nie można nadążyć słuchaniem. Raz pełno tych tonów, raz pusto niemal, to znów mijają się, przeskakują przez siebie, zawracają, uciekają w dół, albo pną się w górę tak szybko, że je trzeba prawie oczami gonić, bo słuch staje się za wolny, aby je wszystkie wyśledzić.

Rubinstein grał Brahmsa. Wybrał najbardziej romantyczną chyba jego sonatę, która aż czasem mało była brahmsowska. Przypomina swoją rzewnością i swojemi cieniami, kończący się dzień i jakieś wieczorne szelesty. Brahms? Prawie Schubert. Później był Beethoven. Znowu sonata, a w niej nie tylko wielka muzyka Beethovena, nie tylko delikatne scherzo, ale i menuet. Taki zupełnie odmienny od pogodnych menuetów francuskich. Nie wiele w nim było z Wersalu, ale za to wiele z wiedeńskiego Schoenbrunnu, gdzie w tym czasie kiedy po parku chadzał pan Beethoven, pełno było w pałacu smutku po ślicznej Marie Antoinette, która już nie tańczyła ani w Wersalu, ani w Paryżu, gdzie jej położyli głowę pod gilotynę. Ale menuet przeżył austrjacką księżniczkę, co poszła panować do Francji, i długo się trzymał w Schoenbrunnie, aż się w kilkanaście lat za nim zjawił tu Bonaparte po następną córkę austrjackich cesarzy. I też ją dostał.

Wraca ten cały ówczesny Wiedeń, kiedy się wodzi słuchem za jego sonatą, napisaną jak wszystkie największe jego utwory właśnie w cesarskim Wiedniu, który najładniejsze swoje księżniczki oddawał na francuski dwór.

Rubinstein zaczął drugą część swojego koncertu od hiszpańskich „Lalek" Villa-Lobosa. I znów je było widać w tej jego muzyce. I „Mulatkę" trochę wyuzdaną z ręka napewno opartą o biodro i z odrzuconą głową do tyłu, tak żeby było widać i rozchylone wargi i bardzo białe, między niemi, zęby. Później się zaraz pokazała za nią biedna, skulona „Lalka ze szmat". Smutno się zrobiło wśród strun i między klawiszami. Trochę tylko pozwolił o niej zapomnieć podskakujący „Pajacyk", który się zjawił za nią, latający od góry do dołu po wszystkich białych i czarnych klawiszach, podrywając się, niespokojnie, aż znikł nagle nie wiadomo nawet kiedy i gdzie.

Później Prokofieff. Możliwe, że niechęć do niego dyktuje czasem jakaś antyrosyjska obsesja. Ale jego marsz dławi, klęka na piersiach, bije w skronie, nie dając ani na chwilę odetchnąć, aż się w końcu zwala straszliwym łomotem i urywa w nieczekanym huczącym grzmocie. Sztuka. Wielka sztuka. Taka sama jak tyle innych rosyjskich wielkości, które nie pozwalają towarzyszyć sobie. Takie są — bezdusznie wielkie.

I po tym marszu nareszcie: Chopin, przegrany według kolejności zapowiedzianej programem „Kołysanką" i wielkim „Polonezem", a po nich bisy „Walcem" i dwoma etiudami, granemi tak, jak gra Chopina tylko Artur Rubinstein, w jakiejś przedziwnej własnej wersji, co nic nie odejmując, daje tej muzyce najbardziej wierny kolor, koloryt, cienie i półcienie.

Koncert skończył „Taniec Ogni" De Falla już nie hiszpański, ale maurytański, tak chyba rozgrzany, jędrny i mocny jak wiersze Lorci, roztańczone w hiszpańskim upale nie tylko po hiszpańsku, ale i po polsku słowami Lobodowskiego. (J. K.)

Rubinstein w zeszłym roku w Warszawie

DOROCZNY BAL

Wszystkim zrobił dobrze. I tym którym trzeba pomóc i tym którzy byli na tym balu Bratniej Pomocy, urządzonym dwa tygodnie temu w jednym z klubów na Park Ave.

Bal był „doroczny". To znaczy ma już za sobą tradycję dawnych takich wieczorów, na których spotykają się znajomi, mało zwykle, albo nawet tylko bardzo rzadko widujący się przelotem. Jedni kończą takie spotkania zdawkowym ukłonem, inni niby uprzejmą a tak naprawdę to raczej uszczypliwą i złośliwą uwagą: „ależ ten czas leci", inni znowu ładnym bardzo uśmiechem i później wspólną kolacją.

Tak było i tego roku.

Nastrój balu przypominał wieczory warszawskiej „Latarni" niezmiennie urządzanej w dolnych salkach Europejskiego hotelu, do których schodziło się po kilku schodkach. Tu też było kilka salek i też były półokrągłe wysokie okna, zasłonięte spadającemi do ziemi firankami. I też takie tam były okrągłe stoły i stoliki.

Ale przede wszystkiem dużo było przy stolikach osób, które kiedyś tańczyły na warszawskiej „Latarni". A jeśli nawet tam nie bywały, to mogłyby bywać i też napewno dobrze by się bawiły. Cudzoziemcy? Na „Latarnię" też przychodzili cudzoziemcy. Zawsze ich trochę siedziało w Warszawie i wieczorami chętnie bywali na takich „dobroczynnych" zabawach.

Teraz, jak było naprawdę? Zaczęło się o 10 i skończyło gdzieś chyba zaraz po 2-giej t. j. tak, jak mayor Wagner zaleca. Właściwie nie długo, ale każdy mógł i potańczyć i zjeść świetny, znów „tradycyjny", bigos i wypić trochę (mimo dość kłopotliwej procedury, którą łagodziło trochę to, że sama p. Marja Modzelewska była przez dużą część wieczoru właśnie: od wódki). A poza tem można się było napatrzyć: 1. na futra, 2. na kujawiaka i oberka odtańczonego przez J. Łazowskiego z trójką polskich panienek, jakby prosto z pod Łowicza i 3. na mazura. Kto z kim go tańczył trudno pamiętać, ale chyba napewno: p. Rubinsteinowa z mec. St. Korbońskim, p. Jaroszewiczowa z p. J. Łazowskim, p. Korbońska z p. M. Budnym, i w czwartą parę, p. Jasińska z p. Kempińskim. Bardzo to było ładne i znów jak w Warszawie, ale chyba nie w „Europie" a raczej w Resursie Obywatelskiej, gdzie w czasie karnawału dzień po dniu słychać było przez uchylone okna na ulicę, kilka razy powtarzanego w ciągu nocy mazura. Bo to przecież musiał być i gdzieś na początku t. zw. „mały mazur" i później w połowie nocy — „mazur prawdziwy" i wreszcie o świcie — biały mazur.

Tu był tylko jeden, ale ładny. Zresztą ciągle było — ładnie. Te futra na przykład obnoszone przez trochę na początku zażenowane młode panie, które organizatorzy zabierali wprost od stolików, żeby je Mr. Joseph Bernham, właściciel tych wszystkich cudów (futer a nie modelek) drapował w tylnym pokoiku w: nurki, sobole, szynszyle, lamparty i jeszcze jakieś tam wymyślne futrzane kapeletty, stole, kołnierze i inne „wdzianka" (jak się mówi dziś w Warszawie).

Później była jeszcze wenta i pierwsza nagroda: znów „minkowa" kapelettka, ofiarowana przez tegoż p. J. Bernhama, którą sztur mem wygrał od pierwszego strzału młody Paweł Rubinstein. Ale że to nie strój dla młodych ludzi (choć od biedy można to było na czapę przerobić) to kapeletka poszła dalej w kurs i teraz zdobił ramiona p. H. Sławińskiej (6 Broad St., Red Bank, N. J.). Drugi wentowy skarb, aparat TV, przypadł w udziale p. Gordonowi, a wśród dalszych tryumfatorów wenty znaleźli się pp. Cieszkowski i Roven.

Tyle było emocji, tańca i bigosu na tym balu pełnym polskich i niepolskich nazwisk, które nie sposób dokładnie wyliczyć. Napewno główne podziękowania należą się za ten wieczór p. Arturowej Rubinsteinowej, której towarzyszył mąż i p. Janowej Dembińskiej, której mąż, też współgospodarz, przypominał: „tylko żeby „Nowy Swiat" nie zapomniał, że na balu było wielu naszych amerykańskich przyjaciół, takich jak: Mrs. William Breed, Mrs. Clark Williams, Mrs. Clarens Haye, Mrs. i Mr. Robert Wallis, Mrs. Chester Burgen, Mrs. i Mr. Lawrence Morris, no i p. Sol Hurok, który podobno po udanym objeździe „Sląska" obiecuje na rok przyszły „Mazowze". Trzymamy za słowo.

A jakie były polskie nazwiska? Wszystkie. Alfabetycznie zaczynała je pani Aniela Mieczysławska, a później szło już tak dalej przez kilka pań których imiona zaczynają się na „B", aż lista dotarła do końca alfabetu gdzie już coraz mniejszy tłok imion na „V" (chyba Vera) albo na „W" (chyba że Wanda), aż do pani Zofji Nakonecznej. Paniom towarzyszyli panowie, nawet po kilku, tak jak bywało w Warszawie, którzy „zaczynali" się na te same, co panie' litery, albo na zupełnie inne. Ale żaden z nich nie skąpił i Bratnia Pomoc, znów będzie mogła pomagać tym, którzy tego najbardziej potrzebują.

Jeden z obecnych

Wygraną nurkową kapelettkę wręczyła p. H. S. Sławińskiej p. Arturowa Rubinsteinowa